

FRANCIS MARION CRAWFORD

F. MARION CRAWFORD

Mafia to sycylijski charakter
- sycylijski honor,
sycylijskie zasady.
To idea, a nie instytucja.

CORLEONE

HOID.PL

TRYLOGIA tom III
CORLEONE
OPOWIEŚĆ O SYCYLII
1898

MAFIA, SYCYLIA, RZYM, KONFLIKT, MIŁOŚĆ, ZAZDROŚĆ, POZYCJA,
ZEMSTA, MEZALIANI, KONIE, WINCHESTERY, WIDOKI, AMERYKAŃSKI SEN...
A WSZYSTKO TO ZANIM MARIO PUZO W OGÓLE PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT!

Francis Marion Crawford
CORLEONE: Opowieść o Sycylii
Tom III

Tytuł oryginalny: Corleone: A Tale of Sicily
Autor: Francis Marion Crawford
Data oryginalnego wydania: 1898
Research i opracowanie tekstu: Wydawnictwo Horyzont Idei
Przekład i redakcja: Damian Tarkowski, Adrianna Krawczyk
© Polskie Wydawnictwa Niezależne, Damian Tarkowski,
Wydawnictwo Horyzont Idei, 2022
Wydanie pierwsze, Toruń 2022

ISBN: 978-83-65185-41-9
Dziękujemy za zakup oryginalnego e-booka!

Nasz adres internetowy:
www.hoid.pl; www.sklep.hoid.pl;
Facebook:
[www.facebook.pl/HORYZONTIDEI](https://www.facebook.com/HORYZONTIDEI)
E-mail: kontakt@hoid.pl; damtar@hoid.pl
Tel: (+48) 723 761 373

NIP: 9562251232
mBank: 34 1140 2004 0000 3702 7847 3507

Wesprzyj naszą działalność, zakupując książki, e-booki
i audiobooki Wydawnictwa Horyzont Idei dostępne na naszej
stronie internetowej: www.sklep.hoid.pl oraz u naszych
partnerów na platformach:

ibuk.pl; ebookpoint.pl; virtualo.pl; publio.pl; woblink.com;
legimi.pl; empikGO, audioteka.pl, storytel.pl, nieznany.pl, i in.

Współpracujemy także z autorami oryginalnych tekstów w języku polskim
oraz z innymi wydawnictwami w zakresie udostępniania licencji oraz praw
autorskich do nagrań audio lub wydawnictw drukowanych.

SPIS TREŚCI:

[ROZDZIAŁ XXVIII](#)

[ROZDZIAŁ XXIX](#)

[ROZDZIAŁ XXX](#)

[ROZDZIAŁ XXXI](#)

[ROZDZIAŁ XXXII](#)

[ROZDZIAŁ XXXIII](#)

[ROZDZIAŁ XXXIV](#)

[ROZDZIAŁ XXXV](#)

[ROZDZIAŁ XXXVI](#)

[ROZDZIAŁ XXXVII](#)

[ROZDZIAŁ XXXVIII](#)

[ROZDZIAŁ XXXIX](#)

[ROZDZIAŁ XL](#)

ROZDZIAŁ XXVIII

Ippolito cofnął się o krok, gdy usłyszał dźwięk przekręcania klucza w zamku, bo drzwi otworzyły się do środka. Po chwili rozsunęły się szeroko, a on stanął twarzą w twarz z mnóstwem pełnych gniewu oczu. Był tam Tebaldo wskazujący na niego ze złośliwym uśmiechem na cienkich wargach i z powiekami opadającymi pod kątem, jak u sępa wyczuwającego śmierć. Był tam młody, rudowłosy porucznik piechoty, patrzący na niego ostrym wzrokiem, był też kaprał, z trzema lub czterema piechurami–karabinierami w czapkach. To byli przedstawiciele prawa. Ale bezpośrednio na nich, wokół nich i obok nich napierał tłum rozszłoszczonych mężczyzn, a wraz z nimi kilka kobiet, trochę dzieci, nawet zupełnie małych. Był tam też kulawy chłopiec, który codziennie czekał żeby zawołać kościelnego, i sam gruby zakrystianin, z niepokojącym błyskiem w oku. Na drugim planie, tuż za drzwiami, gdy wszyscy już weszli, oparta o futrynę stała Concetta, jej chusta opadła z jej głowy, a jej wspaniałe oczy błyszczały obłędem.

– Brać go – powiedział Tebaldo, surowo. – Tam, przed ołtarzem, leży mój brat, a jego krew jest na rękach tego człowieka.

Wtedy z tłumu rozległ się niezgrany chór okrzyków i przekleństw.

– Zabrać księdza Saracinescę! Zakuć go w kajdanki! Zakuć go w łańcuchy! Niech będzie przeklęta jego dusza dusze jego zmarłych krewnych!

– Wczoraj próbował go zabić kamieniem!

– Zrobił to dzisiaj, zabójca!

– Spalmy go żywcem! Rozerwijmy go na strzępy! Śmierć rzymianinowi!

– Dajcie mi jego twarz w moje ręce! – krzyczała rozczochrana kobieta.

A dziecko, które stało w pobliżu, splunęło na niego.

Ippolito cofnął się przed nimi i stanął naprzeciwko, błądy i wpatrzony w nich ze zdumieniem i przerażeniem. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć. Ta ohydna zdrada była zupełnie nie do pojęcia. A jednak wyciągnięta ręka Tebalda wskazywała na niego i to głos Tebalda kazał żołnierzom go pojmać. Ich twarze były nieprzeniknione. Jedyne młody piemoncki oficer, przyzwyczajony do innego świata na cywilizowanej północy, zdradzał w swoim wyrazie ten rodzaj ciekawości, jaki widzi się w spojrzeniach ludzi, którzy obserwują dzikie bestie w klatce.

– Lepiej opróżnijcie kościół – powiedział do karabinierów. – To zamieszanie jest niestosowne.

Nie był on ich oficerem, ale od razu zaczęli go słuchać. Tłum stawiał lekki opór, gdy rośli mężczyźni odpychali ludzi z wyciągniętymi rękami, tak jak się zbiera trzciny w siatkę, aby je związać przed odcięciem u nasady.

– Wypuszczą go, jak jego brata – warknął zawzięcie stary człowiek.

– Wyślą go do Rzymu, a potem puszczą wolno, bo jest rzymianinem – powiedział drobny, skrzywiony cieśla.

A mały chłopiec znów splunął na Ippolita, uchylił się przed ręką jednego z żołnierzy i wybiegł. Z protestującymi okrzykami, z wieloma przekleństwami i masą złowrogich gróźb, ludzie pozwolili się wypchnąć bez żadnej przemocy.

– Jestem kościelnym! – oświadczył grubas, sprzeciwiając się, ale pozwolili mu zostać.

– Jestem Concetta – powiedziała poważnie dziewczyna o ciemnej karnacji.

– Pozwólcie jej zostać – poradził kościelny. – Widziała, jak ksiądz go wczoraj pobił.

Ippolito nie odezwał się ani słowem. Złożył ręce i stał czekając, aż skończy się zamieszanie. Nie było w nim strachu, ale

na początku nie mógł sobie uświadomić, że naprawdę może być oskarżony o morderstwo i wierzył, że wkrótce zostanie uwolniony. Teraz jednak zrozumiał zdradę i jego czyste, niewinne oczy wpatrywały się w twarz Tebalda.

Kiedy kościół został opróżniony, a drzwi zamknięte, kapral podszedł do niego. Dwóch z jego ludzi podeszło, by zbadać ciało i poszukać broni.

– Jest pan oskarżony o zabicie tego człowieka – powiedział kapral spokojnie. – On jest martwy, a pan jest jedyną osobą, która była tutaj na miejscu. Na obu rękach widać krew. Co ma pan do powiedzenia?

– Nie zabiłem go – odparł Ippolito, po prostu. – Kiedy zobaczyłem, że leży przed ołtarzem, dotknąłem go, aby sprawdzić, czy nie jest martwy. W ten sposób pobrudziłem sobie ręce.

Dwaj mężczyźni wrócili od ołtarza. Ustalili, że Francesco zginął od ciosu nożem, ale nie znaleźli noża.

– Żałuję, ale muszę pana przeszukać – poinformował kapral cichym, zdecydowanym głosem.

– Nóż znajdziecie w mojej kieszeni – odpowiedział Ippolito, bardzo blady, bo widział, jak wszystkie dowody nieuchronnie wskazują przeciwko niemu.

Kapral spojrzał gwałtownie w górę, bo sam był zaskoczony. Ippolito opróżnił kieszenie, nie chcąc narażać się na upokorzenie rewizji. Od razu wyciągnął z nich nóż „bowie” i chusteczkę, która była mocno zabarwiona krwią i jeszcze nie wyschła. W kilku miejscach zaplamiała żółtą skórzaną pochewkę. Kapral wyciągnął broń, która była błyszcząca i nieskazitelna, włożył ją z powrotem do pochewki, a następnie chwycił chusteczkę za dwa rogi. Bardzo łatwo jest wytrzeć krew z wypalanej stali, pod warunkiem, że robi się to natychmiast, a kapral miał duże doświadczenie w takich sprawach. Doszedł do wniosku, że Ippolito mógł wyczyścić nóż chusteczką. Podał oba przedmioty jednemu ze swoich ludzi.

Powieki Tebalda drżały, a jego usta poruszały się lekko, gdy patrzył na to, co się dzieje. Wyglądało to tak, jakby jakaś nadprzyrodzona siła sprzysięgła się na jego korzyść przeciwko jego

wrogowi. Ale sam nic nie powiedział. Młody oficer otworzył szeroko swoje niebieskie oczy i w zamyśleniu podkręcił małe, rude wąsy.

Ippolito opróżnił drugą kieszeń swojej sutanny i wyjął mały tom brewiarza, zawierający oficjum na wiosnę, mały elastyczny marokański notesik, w którym było kilka banknotów, oraz scyzoryk z kości słoniowej.

– Wystarczy – powiedział kapral. – Takie rzeczy nas nie interesują. Pańskie nazwisko – dodał, wyciągając notes i ołówek.

– Ippolito Saracinesca.

– Czyj syn?

– Dona Giovanniego Saracinesci, księcia Sant’Ilario, z Rzymu.

– Wiek?

– Dwadzieścia siedem lat.

– Pański zawód?

– Ksiądz.

– Obecne miejsce zamieszkania?

– Rzym. Zatrzymałem się u brata w Camaldoli.

Kapral szybko zanotował odpowiedzi w zeszycie i włożył go do kieszeni, zapinając ponownie okrycie munduru. Potem przez chwilę milczał.

– Podał pan już swoją relację z tej sprawy – teraz zwracał się do Tebalda. – Nie ma potrzeby jej powtarzać. Ale ta dziewczyna – co ona ma do powiedzenia? – Zwrócił się do Concetty.

Z powagą, ale z błyszczącymi oczami, blada i piękna dziewczyna wystąpiła naprzód i stanęła przed Ippolitem.

– Wczoraj o zachodzie słońca byłem przy bramie cmentarza – powiedziała. – Brat tego człowieka, mieszkający w Camaldoli, zastrzelił brata tego oto dona Tebalda, z którym byłem zaręczona, a on jest pochowany na cmentarzu. Dlatego każdego dnia chodzę do bramy, aby go odwiedzić. Wczoraj przyszedł don Francesco i rozmawiał ze mną. Ten, który leży tam martwy, ledwie co wczoraj ze mną rozmawiał. Niech Bóg da jego duszy pokój i odpoczynek. Wtedy ten ksiądz, schodząc od strony Santa Vittoria, wpadł na niego zakradłszy się od tyłu, dusił

go za kołnierz, i bił po głowie, tak że upadł zemdłony. Ale tamtędy przyszli chłopci, podnieśli go i zabrali do naszej wsi, a ksiądz poszedł do Camaldoli. To widziałam i to wam mówię. Teraz dwóch Saracinesców zabiło dwóch Pagliuców.

Przestała mówić, a jej pobladłe ręce naciągnęły chustę na głowę, bo była w kościele, gdzie głowa kobiety powinna być nakryta.

– Czy przyznajesz się do tego, co mówi ta dziewczyna? – zapytał kapral, zwracając się do Ippolita.

– To prawda, że wczoraj po południu pobiłem Francesca Pagliucę.

– Czy przyznajesz również, że zabiłeś go dzisiaj, w tym kościele, tym nożem? Don Tebaldo zeznaje, że widział, jak to zrobiłeś.

Młody ksiądz podniósł się na całą swoją wysokość, a jego jasne spojrzenie przykuło się do półprzymkniętych oczu Tebalda. Przez kilka sekund dobre oczy Ippolita zmierzyły się ze złym spojrzeniem Tebalda.

– Czy zeznałeś, że widziałeś, jak zabiłem twojego brata? – zapytał w końcu Ippolito.

– Tak, i powtórzę moje zeznania w odpowiednim czasie – odpowiedział Tebaldo, spokojnie.

Ale pod poświęcą czystej i wzniosłej niewinności Ippolita, która milcząco zadawała kłam słowom Tebalda, powieki tego drugiego opadały coraz bardziej, aż spojrzał w dół.

– Czy przyznaje się pan, że go zabił? – zapytał ponownie kapral.

– Nie zabiłem go.

– W takim razie musisz koniecznie wiedzieć, kto to zrobił, jeśli nie ty – powiedział żołnierz. – Kościelny mówi, że jakiś czas temu wysłałeś po niego chłopca. Ten człowiek jest martwy od niedawna, jak stwierdzili moi ludzie. Musiałeś być w kościele, kiedy został zabity, i musiałeś widzieć człowieka, który to zrobił.

Ippolito nie widział dokonanego czynu, ale widział mordercę. Trudno byłoby odpowiedzieć w jednej kwestii, nie wspo-

minając o drugiej, a przez najmniejsze potknięcie mógłby niechcący powiedzieć coś, co mogłoby się skończyć zdradzeniem tajemnicy wyjawionej mu podczas spowiedzi. Dlatego milczał.

– Nic pan nie mówi? Upiera się pan, żeby nic nie mówić? – zapytał kapral.

– Nie mówię nic ponad to, co już powiedziałem. Nie zrobiłem tego.

– A pan – kontynuował żołnierz, zwracając się do Tebalda – zezna, że widział, jak ten człowiek to zrobił?

– Tak. Te przedmioty same przez siebie byłyby dowodem i bez tego – dodał Tebaldo, wskazując na nóż i zakrwawioną chusteczkę, którą jeden z żołnierzy trzymał za jeden róg, aby nie pobrudzić sobie palców. – Te przedmioty, i ręce tego człowieka – dodał. – Co więcej, jego brat zabił mojego drugiego brata, jak wszyscy wiedzą, a on sam przyznaje, że napadł Francesca ledwie wczoraj wieczorem. Nie może się pan wahać przed aresztowaniem go, kapralu. Fakt, że on jest rzymianinem, a my Sycylijczykami, nie jest wystarczającą obroną, jak sądzę?

Kapral rozumiał, że nie ma wyboru. Był bardzo rozsądnym człowiekiem i widział wiele podczas swojej służby na Sycylii, i kiedy tylko dochodziło do rozlewu krwi, był skłonny przypisać zbrodnię raczej Sycylijczykowi, niżeli Włochowi. Polubił twarz i niewinne oczy Ippolita i dałby wiele, aby czuć, że ma prawo pozostawić go na wolności. Ale musiał przyznać, że dowody przeciwko oskarżonemu były przytłaczająco silne. Na pierwszy rzut oka przypuszczenie, że młody ksiądz o wrażliwej osobowości, znakomicie wykształcony w wysoce cywilizowanym Rzymie, mógłby nagle, umyślnie i gwałtownie zadźgać na śmierć takiego człowieka, za jakiego karabinierzy uważali Francesca Pagliucę, rzeczywiście, wydawało się zupełnie absurdalne. Francesco był człowiekiem, przed którym władze zostały ostrzeżone, jako przed kimś, kto mógłby wyrządzić Saracinescom krzywdę, o ile tylko miałby możliwość. Był to człowiek, który dorastał w dzikiej części Sycylii, przesiąknięty bezprawnymi ideami mafii, człowiek, który, choć z urodzenia był szlachcicem, był uważany za „maffeuoso”, a jego brat z pewno-

ścią utrzymywał przyjazne stosunki z banitami. Nie można było zaprzeczyć, że karabinierzy i żołnierze byli mocno uprzedzeni na korzyść Saracinesci i niekorzyść Corleona.

Jednocześnie dowody były przytłaczające, tym bardziej, że Ippolito uparcie milczał i w obronie własnej nie chciał powiedzieć nic poza ogólnym zaprzeczeniem do stawianych mu zarzutów. W swoich trudnościach kapral zwrócił się o radę do oficera liniowego, będącego zarówno jego wojskowym przełożonym, jak i człowiekiem o wyższym wykształceniu niż on sam. Potrzebował wsparcia. Poprosił porucznika, aby porozmawiał z nim przez chwilę na osobności, i razem udali się do jednej z bocznych kaplic.

Ippolito złożył ręce i chodził tam i z powrotem przed karabinierami, w głębokim i niepokojącym zakłopotaniu. Tebaldo oparł się o filar i przyglądał mu się z szatańską satysfakcją. Concetta podeszła i uklękła, twarzą zwróconą do ołtarza, przy filarze po przeciwnej stronie, a gruby kościelny stał nieruchomo w tle, obserwując wszystkich naraz.

Gdy kapral traktował o sprawie, porucznik od czasu do czasu potrząsał głową.

– Ze swej strony – powiedział w końcu oficer – założę się o mój honor żołnierza, że ksiądz go nie zabił. Ale będziecie musieli go aresztować, nie ze względu na nastroje we wsi, ale po prostu dlatego, że dowody wydają się być tak mocne. Jest tu coś, czego nie rozumiemy. Ale żołnierze nie są powołani do tego, żeby rozumieć. Naszym obowiązkiem jest zawsze działać najlepiej, jak potrafimy, na podstawie tego, co widzimy. Rozstrzygnięcie takich spraw należy do organów prawa. Radzę panu zabrać go do swojej kwatery i to jeszcze dziś wieczorem. Oczywiście jest, że nie będzie stawiał oporu.

Kapral był zadowolony z udzielonych wskazówek, choć bynajmniej nie cieszył się ze spoczywającego na nim obowiązku, i wrócił do Ippolita.

– To mój obowiązek, aby pana aresztować – powiedział tonem, który wyrażał pewien szacunek i dużą irytację tą sytu-

acją. Ippolito zatrzymał się w swoim marszu i odwrócił, gdy usłyszał za sobą kroki żołnierza.

– Zrobi pan to, co uważa za słuszne – odparł spokojnie. – Jestem gotowy.

Kaprał wydał rozkaz swoim ludziom i poprosił Ippolita, aby przeszedł między nimi. Potem sam otworzył drzwi kościoła.

Na zewnątrz zgromadził się tłum ludzi, było ich teraz co najmniej trzy razy więcej niż szło za Tebaldem i karabinierami. Wielu innych spieszyło od bramy i słychać było zmieszany dźwięk wszystkich głosów, rozmawiających w pełnych gniewu słowach. Ale gdy pojawił się Ippolito, na chwilę zapadła cisza. Potem, z głębi tłumy, rozległ się pojedynczy okrzyk, głośny, wysoki, szyderczy i pełen nienawiści.

– *Asasyn!*

Słowo to rozległo się, zostało natychmiast podjęte i powtórzone przez tłum mężczyzn i kobiet, z rodzajem wezbranej furii, która powodowała, że sylaby były cedzone tak, jakby każda z nich była przekleństwem.

Ippolito stawiał czoła ludziom dość spokojnie, idąc pomiędzy czterema karabinierami, którzy maszerowali po dwóch z każdej jego strony, a wieczorne światło oświetlało jego wyraźne rysy i niewinne, odważne oczy. Potrzebował zarówno odwagi, jak i niewinności, aby przejść przez tę próbę, bo wiedział, że gdyby nie garstka żołnierzy, tłum w swojej furii szybko by go rozerwał na strzępy. Po raz pierwszy żołnierze byli po ich stronie przeciwko znienawidzonym Włochom z kontynentu. Ludzie oklaskiwali ich, ich kaprała i oficera piechoty, gdy przechodzili obok.

Dzieci biegły przed siebie, wołając do ludzi, którzy jeszcze schodzili z wioski.

– Nadchodzi kapłan Saracinesca! – krzyczały. – Nadchodzi zabójca!

– *Asasyn! Asasyn!* – Ippolito usłyszał to słowo tysiąc razy w przeciągu pięciu minut. A niektórzy z ludzi odzywali się do żołnierzy i kaprała.

– Daj go nam, wujku karabinierze! – zawołał przygarbiony stolarz. – Co prawo ma z nim wspólnego? Dajcie go nam! Zaserwujemy go pół pieczonego i pół gotowanego!

Wszyscy, którzy to usłyszeli, śmiali się i szydzili z Ippolita.

– Zobaczcie, krew na jego rękach! – Krzyknęła wielka żona stolarza, nagle dostrzegając czerwone plamy. – Zobaczcie, oto krew Sycylii na rękach księdza!

Z całego tłumu podniósł się krzyk, bo sto osób usłyszało wysoki, skrzeczący głos kobiety, a reszta podchwyciła wołanie, tak że dzieci, które szły przed nimi, pobiegły z powrotem, aby zobaczyć, co się stało. Jedno z nich było dzieckiem tej kobiety. Złapała je w swoje silne ramiona i podniosła do góry, aby mogło zobaczyć, maszerującego księdza.

– Zobacz, taka dobra sycylijska krew! – zawołała do ucha chłopca.

– Przekleństwa na dusze jego zmarłych bliskich! – krzyknęło dziecko, na wpół oszalałe z podniecenia.

Wszyscy ludzie ruszyli razem, biegnąc i popychając się nawzajem, aby utrzymać księdza w zasięgu wzroku. A dzieci gwizdały i wydawały dzikie dźwięki i dziwne odgłosy, kobiety krzyczały, a mężczyźni przeklinali go ciężkimi słowami.

Z odsłoniętą głową szedł między żołnierzami, patrząc daleko przed siebie i nie widząc lub nie chcąc widzieć ludzi, ani rozumieć, co mówią. Miał tylko jedną myśl – nie złamać wiary swego zakonu kapłańskiego przez zdradę tajemnicy spowiedzi. Choćby wiedział, że śmierć czyha tuż przed nim, nie ugiąłby się.

Nagle coś uderzyło go w ramię, poruszył się, a jego wyraz twarzy uległ zmianie. Ktoś rzucił w niego zgniłą pomarańczą, dobrze wycelował, a gdy ta rozbiła się o jego ramię, część żółtego soku trysnęła na policzek. Na chwilę spokojne spojrzenie zniknęło z jego twarzy, wyraźne rysy ułożyły się surowo, a oczy błysnęły ludzkim gniewem z powodu poniżenia tą zniewagą. Tłum krzyczał z zachwytu i popychał żołnierzy na siebie nawzajem.

– Stać! – zawołał kapral karabinierów.

W jednej chwili w jego dłoni znalazł się wielki rewolwer wojskowy, a wszyscy jego ludzie, obserwując go, przygotowali także swoją broń.

– Działamy w imieniu prawa – powiedział donośnym głosem. – Jeśli coś jeszcze zostanie w nas rzucone, rozproszymy was i poniesiecie konsekwencje.

– Pomarańcza nie została rzucona w ciebie – zawołała żona stolarza.

– Ostrzegałem was – powiedział kapral. – Odsunąć się tam! wycofać się! z drogi! – I trzymał rewolwer w ręku, podczas gdy ludzie rozbiegli się na prawo i lewo, ostudzeni widokiem broni.

Potem przez jakiś czas było mniej hałasu, choć nikt nie udawał, że nad tym wszystkim panuje, ani że jest w stanie przeszkodzić ludziom mówić, co im się żywnie podoba. Wkrótce znów zaczęli sączyć jad, a syczące słowa wypełniły powietrze i przeszły uszy młodego kapłana.

Ale nic nie powiedział, a jego twarz znów była zimna i biała, gdy szedł dalej, nieustraszony i niewinny, trzymając w tajemnicy prawdę o tożsamości prawdziwego mordercy przez wzgląd na śluby kościelne, a głowę wysoko, pośród obelg i szyderstw tłumu.

Była to długa droga, gdyż musieli przemaszerować przez całe miasto, aby dotrzeć do kwater karabinierów, ulokowanych w starym klasztorze po drugiej stronie. Ippolito przeszedłby cały dzień drogi bez bólu, gdyby taka była konieczność, ale ucieszył się, gdy drewniane wrota dziedzińca głośno się za nim zamknęły, a on był wreszcie wolny od swoich wrogów. Obejrzał się, a Tebaldo, Concetta i kościelny, jak również cała reszta, z wyjątkiem karabinierów, zniknęła. Oficer liniowy poszedł do domu, aby napisać depezę do swojego pułkownika, a Ippolito został sam z karabinierami.

Tymczasem mały kulawy chłopiec, którego Ippolito zatrudnił i który odczuwał coś w rodzaju pół-wdzięcznego, pół-oczekującego przywiązania do uprzejmego księdza, uczynił rzecz odważną, biorąc pod uwagę jego ułomność. Widząc, co się dzieje w kościele i słysząc, co mówią wszyscy ludzie, wymknął

się po cichu i kulejąc, udał się do Camaldoli, aby ostrzec Orsina Saracinescę. Długo mu to zajęło, bo był bardzo kulawy, jedną nogę miał wykrzywioną od kolana, poza tym posiadał naturalną deformację biodra. W końcu dotarł jednak do bramy, a Orsino właśnie wrócił z przejażdżki i stał tam z karabinem zawieszonym za plecami, kiedy dostrzegł małego chłopca.

Orsino początkowo nie mógł zrozumieć, a gdy częściowo zrozumiał, nie mógł uwierzyć w tę historię. Relacja chłopca była jednak szczegółowa i nie mogła być zmyślona. Kiedy był już pewien, że jego brat został oskarżony o zabójstwo Francesca, twarz Orsina pociemniała, wezwał po swojego konia i szybko na niego wsiadł. Mały kulawy chłopiec spojrział na niego z tęsknotą, zaczynając kuleć, a Orsino pochylił się w siodle, podniósł go jedną ręką za ubranie i posadził przed sobą, choć był tylko małym brudnym chłopcem. Potem ruszył galopem w górę wzgórza. Ale chłopiec błagał, żeby go postawić na ziemi przy cmentarzu, bo wiedział, że matka go zabije, jeśli się dowie, że ostrzegł Orsina.

Tłum wciąż jeszcze zalegał ulice, gdy Orsino na swym wielkim koniu, z karabinem przy plecach i kaburami przy siodle, z twarzą surową i poważną, sunął brukową drogą jak błyskawica. Dobrze się stało, że akurat nie spotkał Tebalda Pagliuci. Czym innym było rzucenie pomarańczą w nieuzbrojonego księdza i wykrzykiwanie przekleństw w jego stronę, a czym innym stanięcie na drodze Orsina Saracinesci, który miał do dyspozycji prawie trzydzieści strzałów, dosiadał silnego konia i był w złym humorze. Ludzie odsuwali się na bok w milczeniu i spoglądali za zniechęconym rzymianinem, gdy galopował w kierunku kwater karabinierów.

Miał pukać, kopnął w bramę ciężkim butem, nie zsiadając z konia. Wartownik dyżurujący wewnątrz zapytał, kim jest, bo był rozkaz, aby brama była zamknięta z powodu tłumu.

– Saracinesca! – odpowiedział Orsino.

Brama się uchyliła, a on wjechał, poprosił o przywołanie kaprała, zsiadł, rzucił uzdę żołnierzowi i wszedł do budynku. Na korytarzu napotkał kaprała.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Orsino. – Czy to prawda, że aresztowałeś mojego brata?

– Byłem do tego zmuszony – odpowiedział kapral, dość spokojnie. – Skonsultowałem się z porucznikiem i on również to doradził. Przykro mi, ale właśnie taki był mój obowiązek.

– Uwolnij go natychmiast – powiedział Orsino autorytarnym tonem głosu, nieznoszącym sprzeciwu.

Kapral potrząsnął głową.

– Nie mogę tego zrobić – odparł. – Może się pan z nim zobaczyć, ale on jest teraz więźniem.

– Sam najlepiej wiesz, na co się porywasz. Wiesz, co robisz. Natychmiast zatelegrafuję do Ministerstwa w Rzymie.

– Ministerstwo nie nakaże uwolnienia dona Ippolita – odpowiedział kapral z przekonaniem.

Orsino wpatrywał się w niego i zaśmiał dość szorstko.

– Oszalałeś – odpowiedział. – Stracisz za to swoje belki, o ile nie stanie się nic gorszego. Radzę, abys natychmiast wypuścił mojego brata.

– Donie Orsino – powiedział kapral z powagą – jestem starym żołnierzem. Zostałem specjalnie poinstruowany, aby chronić pana i pańskie interesy tutaj. Jednak, wykonując swój obowiązek, byłem absolutnie zmuszony aresztować pańskiego brata, wielbnego dona Ippolita, za zabicie dona Francesca Pagliuci, w kościele Santa Vittoria, dziś po południu. Dowody były takie, że ryzykowałbym degradację i karę, gdybym odmówił aresztowania go. Nie mnie rozstrzygać o jego ewentualnej winie, która mnie osobiście wydaje się niemożliwością. Mogłem jedynie postąpić tak, jak podoficer karabinierów jest zobowiązany postąpić, zgodnie z ustaleniami naszych ogólnych rozkazów. Mówię to panu osobiście, ale odpowiadam za ten czyn przed moimi przełożonymi, a oni nieczęsto przeoczą błędy. Jeśli pójdzie pan ze mną do mojego prywatnego pokoju, opowiem panu wszystkie szczegóły tej sprawy, pokażę nóż i zakrwawioną chusteczkę, które znaleźliśmy w kieszeni Dona Ippolita. Ja i moi ludzie zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby panu słu-

żyć, tak jak nam przykazano, ale uwolnienie dona Ippolita bez dalszego postępowania jest absolutnie wykluczone.

Wyraz twarzy Orsina zmieniał się w miarę tego, jak mężczyzna mówił, ponieważ widział, że jest to honorowy żołnierz z ogromną ilością zdrowego rozsądku. Wszedł za nim do małego pokoiku, który był salonem klasztoru, i usiadł obok prostego stołu, na którym leżało kilka dzienników i stos dużych arkuszy z nadrukowanymi nagłówkami, pod którymi widoczne były kolumny w połowie wypełnione starannym piśmem. Mała lampka z zielonym kloszem była już zapalona.

Orsino usiadł i cierpliwie wysłuchał wszystkiego, co kapral miał do powiedzenia. Gdy ten skończył, żaden zdrowy na umyśle człowiek nie miałby cienia wątpliwości, że dobrze spełnił swój obowiązek.

Był jeszcze fakt kłótni z poprzedniego dnia. Nie miało znaczenia, że Orsino znał prawdziwą przyczynę bójki na drodze i że kapral jej nie znał, dopóki Orsino mu o tym powiedział. Fakt zastraszania przemocą pozostał faktem. Istniał wyjątkowo ciągły łańcuch poszlak uzyskanych w kościele. A do tego dochodziło uparte milczenie Ippolita.

– Rozumiem – powiedział Orsino, poważnie. – Proszę o wybaczenie. Postąpiłeś słusznie. Jestem przekonany, że Francesco Pagliuca został zabity przez swojego brata Tebalda.

– Przez własnego brata? – wykrzyknął karabinier z niedowierzaniem.

– Tak właśnie sędzę, ale nie mam żadnych dowodów. Chciałbym zobaczyć dona Ippolita, jeśli można.

– Cieszę się, że mnie pan rozumie – powiedział kapral, przyzwyczajony do tego, że źle się go ocenia.

Podprowadził Saracinescę do drzwi w korytarzu i otworzył je. Nie były zamknięte, więc po prostu opuścił zatrzask, wpuszcivszy Orsina.

Pokój był duży, wychodził na obszerny dziedziniec, ale oba okna były mocno zakratowane, jak zresztą wszystkie na niższym piętrze starego klasztoru. Po jednej stronie, pod ścianą, stało niskie łóżko na kozłach, przykryte jednym z brązowych

żołnierskich koców. Stał tam stół pomalowany na zielono, żelazna umywalka i parę krzesel z siedziskami z sitowia. Na stole stała mała lampka, z dokładnie takim kloszem, jaki miał kapral, a obok niej duży dzban wina i ciężki szklany puchar, do którego jeszcze nic nie nalano. Kapral sam przyniósł wino, przypuszczając, że Ippolito będzie go potrzebował. Był to żołnierski sposób na pocieszenie i orzeźwienie.

Ippolito siedział po drugiej stronie stołu i poderwał się na nogi, gdy tylko wszedł Orsino. Uśmiechnął się raczej smutno, wiedział bowiem, że znalazł się w bardzo strasznej i niebezpiecznej sytuacji. Z tego, co rozumiał, mógł zostać skazany za zbrodnię Tebalda, bo nic nie mogło go skłonić do złamania przysięgi i zdradzenia tajemnicy spowiedzi.

Orsino chwycił jego wyciągniętą rękę.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział Ippolito, z radośną intonacją w głosie. – Kto cię wezwał? Wszyscy nas tu nienawidzą. Trzeba było słyszeć, jak przeklinali mnie i nas wszystkich na ulicy. Ktoś rzucił we mnie zgniłą pomarańczą i uderzył w ramię, ale karabinierzy utrzymali ich potem w porządku.

Orsino mruknął coś pod nosem i patrzył w oczy brata. Wreszcie odezwał się i zadał jedno pytanie, cicho, sugestywnie, jakby tylko połowicznie oczekując odpowiedzi:

– Tebaldo go zabił, czy nie?

Powieki Ippolita zadrżały z zaskoczenia tak nagłym pytaniem. Jego dusza brzydziła się kłamstwem, a najbardziej takim, które głosiłoby niewinność takiego człowieka. A jednak powiedzenie prawdy oznaczałoby zdradę tajemnicy spowiedzi i złamanie uroczystej przysięgi, którą jako kapłan złożył przed Bogiem. Milczenie, być może, było równoznaczne z rzuceniem cienia podejrzenia na mordercę.

Ale on milczał, bo nic innego nie mógł zrobić.

ROZDZIAŁ XXIX

Ippolito milczał, odwracając się od brata i na wpół obawiając, że nawet jego oczy mogłyby potwierdzić oskarżenie Tebalda. Skierował się w stronę okna, przez które jeszcze słabo widać było blask zachodzącego słońca, a potem, jakby zmieniając zdanie, wrócił do stołu i usiadł, trzymając twarz jak najdalej od lampy. Orsino zajął inne krzesło.

– Nie jest dobrze oskarżać kogokolwiek o taką zbrodnię bez dowodów – powiedział Ippolito, powoli.

Orsino nie odpowiedział od razu. Wyjął z kieszeni dwa cygara i w milczeniu podał jedno bratu, po czym obaj zaczęli palić, nie odzywając się. W zasadzie byli tak bardzo zżyci ze sobą, ich milczeniu przy każdej zwykłej okazji, nie byłoby niczym dziwnym. Ale starszy z nich czuł, że istnieje tajemnica, którą Ippolito chce ukryć, znał tę niezwykłą, ale doskonale cichą wytrwałość brata, kiedy postanowił o niczym nie mówić, i przeanalizował w myślach całą sytuację. Był w posiadaniu wszystkich szczegółów znanych karabinierom, a także innej informacji, która do nich nie dotarła, a którą zachowywał dla siebie, dopóki nie okaże się przydatna.

Jeden z jego ludzi widział z daleka, jak człowiek jadący na gołym koniu gonił człowieka na osiodłanym koniu przez długie, proste wzgórze prowadzące na cmentarz, i powiedział o tym Orsinowi, zanim przybył ów kulawy chłopiec, choć przyznał, że nie był w stanie rozpoznać jeźdźców. Orsino sam znalazł konia Taddea, leżącego martwo na drodze tuż za bramą cmentarza, i jego własny koń zachwiał się przy nim. Rozpoznał

tę martwą bestię, znaną jako jeden z najlepszych koni w kraju, i zobaczył w mgnieniu oka, że nie jest ranny i nie został postrzelony, z czego wywnioskował, że prawdopodobnie został zajeżdżony na śmierć w wyścigu, który opisał jego człowiek. Ippolito powiedział mu, po starciu poprzedniego wieczoru, że Concetta kazała chłopom zabrać Francesca do domu Taddea. Ponieważ Orsino najzupełniej nie ufał Tebaldowi, nie było niczym nadzwyczajnym, że trafił na coś bardzo bliskiego prawdy, przez jedno przypuszczenie oparte na tym, co wiedział. Był całkowicie nieświadomy do związku Aliandry z tą historią i nie miał pojęcia, dlaczego jeden z braci miałby ścigać drugiego. Ale często słyszał o napadach nieopanowanej wściekłości Tebalda. Vittoria sama powiedziała Orsinowi, że w takich chwilach Tebaldo był bardziej niebezpieczny niż dzika bestia, a także przyznała, że jej bracia często się kłócili.

Orsino domyślił się, że taka kłótnia miała miejsce tego dnia, gdzieś na drodze, i że zakończyła się tym, że Francesco zajeżdżony konia na śmierć, dotarł do kościoła pieszo, a kilka sekund później został dogoniony przez brata i zasztyletowany, tak jak to się stało naprawdę.

Orsino być może nie był wybitnie domyślny w zwyczajnym znaczeniu tego słowa, ale jego umysł pracował jasno i logicznie, kiedy tylko go wyteżył. W swoich domysłach posunął się o krok dalej i doszedł do wniosku, że Ippolito nie widział morderstwa, ani być może nawet samego Tebalda, ale że Tebaldo widział jego. Ksiądz zszedł z chóru organowego, znalazł ciało leżące na schodach i poruszył je, podczas gdy Tebaldo wpadł na pomysł oskarżenia go o ten czyn. Tłumaczył milczenie Ippolita, przypisując mu, jako człowiekowi bardzo sumiennemu, skrajny strach przed wniesieniem oskarżenia, na które nie miał żadnych naocznych dowodów. Chociaż taki tok myślenia nie był łatwy do wyrażenia w słowach, jawił się jako całkiem rozsądny.

Kiedy już za nim wyszedł, strzepnął popiół z cygara i spojrzął na brata.

– Powiem ci, co myślę – powiedział – bo zatajasz prawdę z powodu jakiegoś skrupułu sumienia.

Ippolito przesłonił oczy ręką, opierając łokieć na stole. Czuł, że jego czoło zwilgotniało nagle z niepokoju, aby Orsino nie domyślił się tajemnicy, a jego obawy wzrosły, gdy brat opowiedział mu o wyścigu, o martwym koniu i o wnioskach, jakie wyciągnął.

W tym bolesnym położeniu młodego księdza można byłoby mu wybaczyć, gdyby chciał, aby Orsino, zupełnie bez jego pomocy, poznał prawdę. Ale on tego nie chciał. Jak to kiedyś powiedział o nim Orsino, miał w sobie to coś, co w dawnych czasach posyłało męczenników na stos. Miał szczerą nadzieję, krzewioną z całego serca, że Orsino nie natrafi na prawdziwą historię i odetchnął z ulgą, gdy usłyszał koniec dedukcji brata. Jako człowiek, najbardziej pragnął swego natychmiastowego uwolnienia i chciał, aby morderca został postawiony przed sądem. Ale jako ksiądz, czuł przerażenie na myśl, że on, który został związany tajemnicą spowiedzi, mógłby w jakikolwiek sposób przyczynić się do jej wyjawienia.

W tym momencie zapragnął, aby Orsino odszedł, gdyż przy pierwszej próbie, nie udało mu się zgłębić tajemnicy. Za drugim razem mogłoby mu się udać.

– Częściowo rozumiem, dlaczego milczysz – powiedział Orsino. – Nie jest słusznym oskarżać człowieka, który może być niewinny. Ani ty, ani ja nie powinniśmy tego robić. Ale ja nie jestem prokuratorem generalnym. Z pewnością możesz mówić do mnie swobodnie. Wiesz, że wszystko, co powiesz, jest u mnie bezpieczne, i to nie jest tak, że zasugerujesz podejrzenie, którego sam jeszcze nie powziąłem. Nie ufasz mi? To nie jest nawet kwestia zaufania! Co miałbym powiedzieć? Że ty, oskarżony, myślisz podobnie do mnie? Ale nawet tego nie powiem. Chodzi o to: byłeś na miejscu, w kościele. Twoje przypuszczenie, co do prawdy, musi być nieporównywalnie cenniejsze od mojego. To właśnie staram się tobie uświadomić.

Delikatnie klepnął ręką w stół, podkreślając ostatnie słowa, a sam pochylił się do przodu, by zobaczyć twarz brata. Ten jednak odwrócił się i palił w stronę okna.

– To wszystko prawda, czy nie? – zapytał Orsino, natarczywym tonem.

– Co? – zapytał Ippolito, bojąc się zaangażować.

– Że możesz mi zaufać, że nie postawię cię w sytuacji oskarżenia niewinnego człowieka.

– Tak, oczywiście, że to prawda.

Orsino przez kilka sekund patrzył na niego zamyślony.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie o to, jak jest prawda, bo obawiałeś się, że twoja odpowiedź może potwierdzić moje przypuszczenie co do tego, co się stało. Przypuszczam, że moje przypuszczenie nie było całkiem słuszne, skoro bałeś się na nie zgodzić. Chciałbym, żebyś na mnie spojrział, Ippolito! Co to wszystko ma znaczyć? Czy możemy sobie zaufać, bo samo spojrzenie może wyjawiać, że podejrzewasz Tebalda Pagliucę?

Ippolito stanął przed nim i uśmiechnął się czule.

– Gdybyś ty, albo nasz ojciec, albo jakikolwiek człowiek podobny do nas, był na moim miejscu, zachowałbyś się dokładnie tak, jak ja się zachowuję – powiedział powoli.

– Jesteś całkowicie niewinny, a jednak zachowujesz się jak człowiek, który boi się obciążyć samego siebie? – Powiedział Orsino, w końcu zniecierpliwiony.

– Jestem całkowicie niewinny, w każdym razie – odparł Ippolito, z czymś w rodzaju śmiechu.

– Cieszę się, że tak lekko podchodzisz do tego wszystkiego. Ja nie. Jeśli do jutrzejszego ranka nie złapiemy człowieka, który naprawdę zabił Francesca, zostaniesz przewieziony do Messyny i uwięziony do czasu, aż wpłacimy za ciebie kaucję, o ile w ogóle zostanie ona przyjęta, w co wątpię. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że będziesz sądzony za morderstwo. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nie mogę nic na to poradzić, jeśli do tego dojdzie – odrzekł Ippolito, spokojnie popalając cygaro.

– Możesz, w każdym razie, powiedzieć coś, co pomoże mi w udowodnieniu twojej niewinności...

– Z przykrością stwierdzam, że nie mogę.

Orsino wykonał niecierpliwy ruch, rozkładając szeroko i ponownie krzyżując nogi.

– Mógłbyś, gdybyś chciał – uznał. – Ale nie ma straszniejszej przeszkody dla zdrowego rozsądku niż chorobliwie skrupulatne sumienie. Jak sądzisz, co pomyślą nasi bliscy w Rzymie?

– W każdym razie, nie będą mnie uważać za winnego – odpowiedział ksiądz. Jego nastrój zmienił się. – Powiem ci szczerze, Orsino – oświadczył, a jego twarz stała się kwadratowa, jak to czasami bywało – gdybym wiedział, że zostanę za to wysłany na katorgę, nie powiedziałbym ani słowa więcej niż już powiedziałem. Nie ma sensu mnie wypytywać. Zróbcie wszystko, co w waszej mocy, aby mnie uratować, wiem, że to zrobicie, ale nie oczekujcie ode mnie ani jednego słowa więcej. Uznajcie mnie za dziwaka, głuchego i niemego, jeśli chcecie, szalonego, jeśli chcecie, i za idiotę, jeśli to ma mnie ocalić, ale nie oczekujcie, że cokolwiek powiem. Nie powiem.

Orsino dobrze znał brata, znał jego sposób bycia i rozumiał ton jego głosu. W każdej wyraźnej sylabie i w każdej cichej intonacji wybrzmiewała niezmiennosc jego postanowienia. Jego własna irytacja zniknęła, bo zdał sobie sprawę, że Ippolito musi mieć jakiś wielki i chwalebny powód, by milczeć.

– Tak długo jak tu jesteś, chyba że znajdziemy mordercę dziś w nocy, pozostaniesz zamknięty w tym pokoju – powiedział Orsino, po przerwie. – Żadne wstępne dochodzenie nie może mieć tu miejsca, tutaj nie ma nawet biura prefektury. Z pewnością zabraliby cię do Randazzo, ale Messyna byłaby lepsza. Mielibyśmy większe szanse na natychmiastowe zwolnienie cię za kaucją, gdybyś trafił do stolicy prowincji.

– Randazzo to chłodniejsze miejsce – zauważył Ippolito, zamyślony.

– Co to ma do rzeczy? – zapytał Orsino ze zdziwieniem.

– Tylko tyle, że jeśli mam być trzymany w więzieniu przez całe lato, to wolałbym chłodny klimat.

– Naprawdę... – Orsino prawie roześmiał się z jego spokoju.

– To absurd – podsumował. – Z pewnością znajdziemy sposób, aby tymczasowo cię wydostać.

– Mam nadzieję. W takim razie pozwól im zabrać mnie do Messyny, jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej.

– Natychmiast każę kapralowi telegrafować do ministra sprawiedliwości. Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli wyruszyć przed rankiem i uniknąć wrzawy na ulicy. Jadłeś kolację?

– Nie. Przynieśli mi trochę wina. Jest tutaj, ale ja niczego nie chcę. Czy możesz zatelegrafować do naszych ludzi osobiście? Tak będzie lepiej. Mogą przeczytać o tym w gazetach.

– Oczywiście. Wyślę im pełną relację, a ten sam telegram nadam też do ministra sprawiedliwości. Znam go bardzo dobrze, podobnie jak nasz ojciec.

– Wyślij mi trochę ubrań i moje rzeczy przez żołnierza, dobrze? – Poprosił Ippolito.

Poczynili jeszcze kilka ustaleń, ale Orsino powstrzymał się od dalszych pytań, po czym zostawił brata samego, a sam, porozmawiawszy z kapralem, wsiadł na konia i powoli wyjechał z dworu na ulicę, w stronę telegrafu. W pół godziny później był już w drodze do Camaldoli. Ludzie we wsi rozeszli się przeważnie do domów, a ulice były prawie opustoszałe, bo krótki zmierzch się skończył i zapadła już noc.

Starął się patrzeć przed siebie w mroku, gdy zbliżał się do cmentarza, bo spodziewał się znaleźć konia sklepikarza wciąż leżącego na drodze. Ale już go zabrano.

Z początku wahał się, czy nie powinien odszukać Tebalda i spróbować wymusić od niego prawdy siłą, ale od razu porzucił ten pomysł jako absurdalny. Gdyby mu się nie udało, a mogło się nie udać, gdyż Tebaldo był bardzo odważny, wznieciłby tylko jeszcze mocniej ogień nienawiści, jaka istniała między dwoma rodzinami, nie wspominając już o tym, że takie spotkanie łatwo mogłoby zakończyć się rozlewem krwi. Nawet jego twarde ciosanemu umysłowi wydawało się, że w całej tej historii jest jakiś dziwny fatalizm. Zabił jednego z braci w obronie własnej, lub w tym, co prawo za taką obronę uważało, a teraz Ippolito został oskarżony o zamordowanie drugiego z braci. Mądrzej byłoby zostawić tego trzeciego w spokoju i zaufać majestatu prawa i temu, że udowodni on niewinność Ippolita. Orsino nie

był człowiekiem, który instynktownie kochał przemoc i walkę, jak niektórzy inni mężczyźni. Czuł, że gdyby San Giacinto był obecny, zdołałby w jakiś sposób uwolnić Ippolita i uwięzić Tebalda w jego miejsce, dzięki czystej sile i mocą terroru, którą wywierał na tak wielu ludzi, ale której, by oddać mu sprawiedliwość, nie nadużywał. Olbrzym ten był człowiekiem niezwykłym, zarówno pod względem umysłowym, jak i fizycznym, i zawsze przedkładał działanie nad logikę, a logikę nad sentymenty. Orsino, przeciwnie, na ogół pragnął przemyśleć każdą sprawę do końca, zanim zacznie działać, choć nie był ani powolny, ani nieśmiały, gdy już ostatecznie podjął decyzję.

Na tyle, na ile mógł to uczynić, zdecydował i działał, a jego myśli analizowały całą sytuację, a teraz kierowały się zwłaszcza ku jego miłości do Vittorii. Cieszył się, że wkrótce ją zobaczy, ponieważ zaczął rozumieć, że jego obecność w Camaldoli często przez wiele dni w ogóle nie była konieczna, a ostatnio, podczas samotnych przejażdżek, oddawał się planowaniu sposobów spotkania się z nią podczas następnej wizyty w Rzymie.

Ona była główną i centralną istotą w całym jego codziennym życiu. Rozłąka nie wynikała jedynie z odległości, gdyż istniały inne, prawie niemożliwe do pokonania przeszkody na drodze do ich małżeństwa. Po śmierci Ferdinanda, po straszliwych przekleństwach Marii Caroliny d’Oriani, po absolutnej odmowie wysłuchania propozycji przez jego własnego ojca, wydawało się prawie niemożliwe, aby kiedykolwiek naprawdę ożenił się z Vittorią. A teraz, jakby chcąc zmiążyć jakikolwiek cień ostatniej szansy, jak grom z jasnego nieba spadła ta nowa, straszna katastrofa.

Orsino nie dawał się łatwo wytrącić z równowagi, ale uporne przeciwności losu powodowały, że napięcie powoli w nim rosło. Wydarzenia oddziaływały na niego w sposób kumulatywny. I jego siła moralna powoli wzrastała, jak woda w wielkim zamkniętym, pustym stawie, do którego z wolna, jakby nie miał żadnej siły, ścieka mały strumyczek, stale napływając ze źródła, który pokrywa stopniowo dno i wciąż napływa, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, a woda podnosi się po-

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

